WYDAWNICTWO »MACIERZY POLSKIEJ«.

KSIĄŻECZKA 77.

PIEŚNIARKA LUDU POLSKIEGO

MARYA KONOPNICKA.

DLA UCZCZENIA JUBILEUSZU JEJ 25-LETNIEJ PRACY PISARSKIEJ

NAPISAŁ

DR. KAROL FALKIEWICZ

Wypożyczalnia
Tow. Czytelni Lud
w Poznaniu

92

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ.
Główny skład w Administracyi „Macierzy Polskiej“ w Gmachu Sejmowym.
1902.

EGZ. ARCH.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI
BIBLIOTEKA
Filia w B-stoku
139001

Z DRUKARNI E. WINIARZA WE LWOWIE.

K-102/82

Marya Konopnicka

Marya Konopnicka

Marya Konopnicka
Poetka ziemi polskiej
ur. roku 1842 zmarła
roku 1910 w wieku
sędziwym bez dzieci
pochowana została na
cmentarzu [illegible]
[illegible]

Tu spoczywa [illegible]
[illegible]

Lwów dnia 15/VI 81

Marja Konopnicka

Cel tej książeczki

Cel tej książeczki.

Kupiliście, mili Czytelnicy, nową książeczkę. Nabyliście ją może dlatego tylko, że wydana przez »Macierz Polską«, która już tyle ładnych książeczek pod wiejskie strzechy rozesłała. Oglądacie ciekawie nowego gościa, czytacie napis: »Marya Konopnicka«; przypatrujecie się wizerunkowi tej pani i pytacie: »Kto ona«? — Odpowiem Wam jej słowami:

»Nie znam Was, nie widziałam, — i wy mię nie znacie,
A przecież jam nie obca i związana z wami.
Tak brzoza, zasadzona przy wieśniaczej chacie,
Dźwięczy piosenką chaty i płacze jej łzami».

— A! więc to »pisarka« — wołacie zdziwieni. — Słyszeliśmy — mówicie sobie w duchu — o pisarzach, ale o »pisarce« słyszymy po raz pierwszy.

— Widzę zawód na Waszych twarzach. Spodziewaliście się może, że w książeczce będzie jaka ciekawa powiastka, że ta pani dokazała jakich wielkich rzeczy, skoro książkę o niej wydano, — a tu dowiadujecie się, że ona tylko wiersze układała i pisała.

— Chcecie odłożyć książkę? — Nie czyńcie tego! Ot usiądźmy, pogwarzymy gdzienieco, a może Was przekonam, że ta pani wielkiego dokonała dzieła, nad którem pracuje od 25 lat w trudzie i mozole dla całego narodu, a szczególnie dla ludu polskiego.

Takto już bywa na świecie, że każdy stan swą pracę najwyżej ceni, bo ją za najcięższą uważa. Co do pracy około roli i sprzeczać się z Wami nie będę. Toż się człek za pługiem schodzi, że i nóg nie czuje; rzuca potem w czarną ziemię ziarno, a co się nakłopoce i natroska: to raz śniegi zbyt zawalne, to znów mróz wyciąga nieprzykryty zasiew; na wiosnę groźna ci posucha lub słota; latem każda czarna chmura lęk w sercu budzi. I tak cały rok Boży niepokoi się rolnik wśród znojnej pracy, wystawiony na ziąb, deszcz, upał, a na plon jego trudów czyhają: i woda i ogień i moc wielka wszelakich szkodników.

Ale przyznacie przecież, że i bez różnego, przeróżnego rzemieślnika byłoby się trudno obejść, że i jego praca nie lekka, a pożyteczna.

Co zaś pracy na roli dotyczy, to niejedna rola, ta chleb rodząca, na tym Bożym świecie. Dusze ludzkie, — to też Boża rola, a trud kapłanów, siejących na niej dobre ziarno, a pleniących zielska grzechu, — cała ich praca pasterska, jakże mozolna, pełna odpowiedzialności przed Bogiem i nijak żyć ludziom bez niej na ziemi. Młode główki i serca dziatwy, — i to rola Boża! Na niej znów są rolnikami nauczyciele i nauczycielki, a ich praca równa Waszej co do trudu

i znoju, chociaż nie wykonują jej rękami, a głową i sercem. Czy nie prawda? Świat ciągle postępuje naprzód, a choć zła na nim dużo jeszcze, to przecież trudno nie przyznać, że i dobra przybywa, że ręka Boża wiedzie całe ludzkie plemię powoli, ale statecznie, do lepszej doli. Ot weźmy choćby na ten przykład narzędzia rolnicze. O ileż cięższą była praca waszych dziadów, gdy ziemię świętą pruli drewnianemi sochami, gdy zebrane ziarno gnietli na chleb między dwoma kamieniami, — i t. d. Dziś ludzki rozum i pługi żelazne wynalazł i wymyślił młyny, w których woda lub para z niej zastępuje ciężką pracę rąk ludzkich. Na koleje żelazne to i narzekacie czasem, ale pomyślcie sobie choćby tylko to jedno: Gdy dawniej nieurodzaj dotknął którą krainę, to już bez ratunku ginęły setki i tysiące narodu straszną śmiercią głodową. Dziś nie trafia się to nigdy, bo kolejami żelaznemi i okrętami parowymi dostawią w mig, czego trzeba, z najdalszych nawet zakątków ziemi. Ot, co tu długo rozprawiać! Czego się dotknąć, na co spojrzeć, — wszystko przypomina nam, że i praca ludzi uczonych, ślęczących nad nauką, bardzo pożyteczna, bo z niej idą różne wynalazki i ten postęp, który ludziom życie ułatwia i uprzyjemnia. A praca ta równie ciężka, a nawet znojniejsza, niż orka, siew lub młocka.

— Dokąd ma nas to wszystko doprowadzić? — pytacie. Oczywiście naprzód do tego, że każdą pracę cenić należy, o ile jest pożyteczną, i że wartość pracy nie od tego zależy, czy nas przy niej więcej lub mniej ręce lub nogi bolą, ale od tego, im pożytek z jakiejś pracy trwa dłużej i im większa liczba

ludzi z niej korzysta. Doprowadzi nas to rozmyślanie o pracy ludzkiej i do tego jeszcze, że bywa i taka praca, na którą wprost ceny niema, bo ją tylko ludzie, przez Boga wybrani, wykonać mogą. Zaraz do tego przyjdziemy, tylko jeszcze trochę dalej czytajcie cierpliwie.

Gdybym się spytał, na co kupiliście tę książeczkę, to odpowiedzielibyście mi mniej więcej w te słowa: — Taż człowiek nietylko chlebem żyje, ale i słowem Bożem. Dał Bóg człowiekowi ciało śmiertelne, lecz dał mu i duszę nieśmiertelną. Dusza zaś też pokarmu łaknie, a pokarmem dla niej nauka, oświata. Dusza też pożąda rozrywki, a najlepszą, najprzyjemniejszą rozrywką dla niej jest czytanie książek pożytecznych, pouczających, a ciekawych. — Tak, wielka to prawda! Człowiek całkiem ciemny jest bardzo a bardzo biedny. Ani on Boga nie zna i dzieł Jego, ani ludzi i spraw ich nieświadom. Żyje ciałem i tylko ciałem, na przemianę przy robocie lub przy misce, kiej ten wół roboczy. Dusza zaś jego śpi snem twardym, a wszak ta dusza nieśmiertelna i wróci do Boga, niby ten pieniądz (talent) pożyczony o którym Chrystus Pan przypowieść zostawił, że Pan Bóg zażąda z niego rachunku. — Kupujecie więc książki, płacicie za gazetki, aby duszę posilić i rozerwać po pracy ręcznej i trudach dni i tygodni. A przecież książkę też ktoś napisać musi. I to rola Boża, na której choć tylko piórem się orze, ale orka ta ciężka i siew znojny! Jak bowiem pług sam po roli nie chodzi, lecz trzeba nim kierować, tak i pióro samo po papierze nie biega, lecz kierują niem rozum i serce.

Ale i książka książce nierówna. Niejedna nas czy pouczy, czy zabawi, ale po przeczytaniu odkładamy ją na bok bez żalu, rozstajemy się z nią niby po rozmowie z dalekim znajomym. Są jednak i takie książki, że czytamy je nie oczyma i głową, a sercem całem i wnętrzem duszy, a rozstać się z niemi tak trudno, jakby z najmilszym przyjacielem. Skąd to pochodzi? — Ot przypomnijcie sobie, czy nie zdarza się Wam czasem, że wieczorem po pracy lub w świętą niedzielę siądziecie przed chatą i patrzycie na niwy i łąki, na kościółek i cmentarz przy nim. Wodzicie oczyma po tem wszystkiem, a w sercu coś taje, niby śnieg od wiosennego słonka. Na myśl Wam przychodzi i to i owo, dusza rwie się ku Bogu i ludziom, a człowiekowi dobrze jakoś i słodko i tęskno, bo się i dzieckiem Bożem czuje i bliźnim. Taka zaduma, takie chwile rozmowy z samym sobą każdemu się przytrafiają: czasem w polu przy pracy, czasem w drodze, w kościele, — raz wiosną, to znowu latem, lub jesienią, — mniejsza zresztą o to, gdzie i kiedy. Zaduma przyjdzie i przejdzie, człek się otrzęsie z niej, westchnąwszy głęboko i jakby z żalem, ale tego, co serce przez tę chwilę odczuło, nie opowiesz drugiemu, ani nawet sam sobie jasno wyrazić nie potrafisz. A i ból często, oj! często człeka szarpie, niby obcęgami za żywe ciało. To cię strata jakaś spotkała w gospodarstwie, to kochana dziecina zaniemogła, — czyto zresztą do bolu i łez, które nie płyną z oczu, a tylko w sercu palą, niby krople roztopionego ołowiu, — mało przyczyn? Gdzietam! Więcej człowiek przeboleje w życiu, niż dozna radości, więcej, niż przeje chleba powszedniego. Lżej byłoby ludziom, gdyby mogli ból

swój wypowiedzieć, z drugimi nim się podzielić, ale czyż to potrafią? Każdy wie swoje i czuje za siebie, a w serce drugiego, jak to mówią, nie zaglądniesz. I lepszymi byliby ludzie, gdyby znali swe radości i cierpienia, kochaliby się bardziej między sobą i kochaliby mocniej Boga, a czcili pokorniej wolę Jego świętą, gdyby mogli swe własne serca zrozumieć, a w cudze zajrzeć.

Otóż czy nie zdarzało się już Wam czytać takiej książki, że to, co w niej było napisane, wydawało się Wam dawno znane i dobrze znajome? Czytając, myśleliście sobie może: »Skąd ten pisarz wie, o czem ja dumałem, na co patrzyłem, co mię bolało temu rok, dwa, dziesięć?« Taką książkę czyta się, jak poprzednio powiedziałem, nie oczyma i głową, a całem sercem i duszą, bo czy tam szczęśliwa jaka chwilka opisana, czy smutek, to zawsze jakoś człowiekowi dobrze z tem niby własnem wspomnieniem i rad z tego, że go ktoś zrozumiał, że inni to samo, co i on, czują. Jakżeż powstają takie książki? — Bóg dobry, — widzicie, — pamięta i o potrzebie, o tajnikach serca ludzkiego. Onto zsyła w Swej łasce na ziemię ludzi z taką duszą, że niby jasnowidzący czytają w naszych sercach, że zdołają radość i smutek wraz z nami odczuć, a umieją tak ładnie wnętrze duszy naszej opisać, że każdy tam swą radość pozna, swój ból odczuje. Ludzi, uposażonych takim darem przez Boga, nazywamy z łacińska poetami, albo po polsku wieszczami, bo oni, niby wieszcze, odgadują, co się dzieje w ludzkich sercach. Jeśli Wam jeszcze taka książka w ręce nie wpadła, to odmawiacie może tę piękną modlitwę: »Kto się w opiekę poda Panu swemu«, albo śpiewacie: »Kiedy ranne wstają zorze«, lub inną podobną pieśń. Czy nie przychodzi Wam wtedy na myśl, że człowiek, który tę modlitwę czy pieśń ułożył, czytał chyba w waszem sercu, gdy się ono modli do Boga, ale wypowiedzieć tego nie umie? A ten człowiek wypowiedział to za Was, za nas wszystkich! On żył może temu lat sto, może dwieście i trzysta, — z jego ciała ledwie już marny proch pozostał, ale jego myśl i uczucie żyją między nami, jego modlitwą lub pieśnią wyrażamy, co czuje nasze biedne serce, choć często i nazwiska tego człowieka nie znamy. Czyż ten człowiek nie zorał serc ludzkich na długie wieki, czy nie posiał w tę Bożą rolę takiego ziarna, co się z pokolenia w pokolenie odradza i plon na Bożą wydaje chwałę? Moi drodzy! taka praca, to już nietylko trud i znój wielki, ale to praca bez ceny ziemskiej, nie opłacona żadnymi skarbami, bo ona jest łaską i natchnieniem Bożem, zesłanemi narodowi z nieba na pokarm serc i ducha, na pociechę w strapieniu, na ulgę w cierpieniach.

Jeśliście to wszystko dobrze wyrozumieli, a ja dodam do tego, że właśnie Marya Konopnicka jest taką wybranką Bożą, że i ona należy do niewielkiego pocztu tych ludzi, co się radują i cierpią z całym narodem i za cały naród, którzy odczuwają, co czuje każde serce z osobna, — i z tych radości i westchnień, z tych łez i bolów pieśni tworzą, w słowa je dźwięczne oblekając, — to łatwo już teraz odgadniecie, dlaczego naród nasz cały taką czcią otacza jej osobę, z takim zapałem gotuje się do złożenia jej hołdu w 25-letnią rocznicę pisarskiej pracy. To praca bez ceny; —

ani jej kupić, ani opłacić, bo to pokarm duchowy i dla żyjącego pokolenia i dla tych, co po nas przyjdą. Wdzięcznym więc chce się naród okazać i przynajmniej sercem a czcią wielką tę wdzięczność wyrazić. Ale jeszcze nie wszystko powiedziałem.

Jak tysiące liści pokrywa jedno drzewo, tak tysiące i tysiące ludzi, na jednej żyjąc ziemi, na rodzinnej, jeden tworzą naród. Ten urodził się Polakiem, ów Francuzem, tamten Włochem, a każdy kocha swą narodowość. Cóżto jest narodowość? Narodowością nazywamy to wszystko razem, co odróżnia jeden naród od drugiego, np. nas Polaków od Francuzów lub Niemców, a więc: i ziemia ojczysta i niebo, nad nią rozpięte, i zwyczaje, i mowa, i historya narodu i prawa jego i religia. A jak liście na drzewie, choć podobne bardzo do siebie, przecież się różnią między sobą, tak i w narodzie są różne stany. Naród zaś wtedy dopiero jest silnym i w pełni rozwoju, gdy się wszystkie jego stany znają i kochają, gdy wszystkie znają i kochają swą narodowość. W naszym narodzie lud rolny długie wieki stał na uboczu, nie brał udziału w życiu narodowem. Inne stany nie znały go, nie rozumiały jego pracy, jego uczuć. Dziś, Bogu dzięki, dużo się zmieniło na lepsze. Lud poczuwa się już do swej narodowości, a oświata, wnikając coraz szerzej i głębiej, uświadamia w nim tę miłość ojczyzny, co drzemała w jego sercu przez wieki całe. Ale aby tego wielkiego dzieła dokonać, trzeba jeszcze wybrańców Bożych, którzyby lud kochając, serca jego przejrzeli, jego radości i smutki odczuli i wiernie opisali. W ten sposób i lud sam siebie lepiej zrozumie, i inne stany poznają go i cenić nauczą i pokochają

sercem za serce, uczuciem za uczucie. I oto zesłał Bóg ludowi polskiemu pieśniarkę, która cały ten stan wielką miłością ogarnąwszy, przemówiła w jego imieniu, wyśpiewała jego serce. Tą pieśniarką Waszą jest Marya Konopnicka, która od zarania swej pracy pisarskiej powiedziała sobie:

Ja będę latać, jako ptak zraniony,
Nizko, nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miliony!
I, jak jaskółka, bijąc w skrzydła drżące,
Latać ja będę nad nizkie zagrody,
Nad pola nasze i lasy szumiące
I modre wody.....

Co postanowiła, tego przez lat 25 wiernie dotrzymała; jej pieśni

..... z licem spłonionem
Stanęły ciche nad własnym zagonem,
Wiosce swej nucąc, jak szare ptaszyny.....
Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,
Zagrody swojej trzymały się płotu,
Czarnego chleba jedząc okruszyny.
A gdy czas przyszedł, by wymierzyć płacę,
One za cichą drobnych celów pracę
Wzięły — fujarkę wioskową z wierzbiny.

Cichą była ta 25-letnia praca, ale cel jej nie drobny wcale, o nie! Wprowadzić »smutnych miliony« przed oblicze narodu, powiększyć skarby duchowe narodu pieśnią ludu, jego sercem, to cel wielki, Boży, zasługa niespożyta. A czyż za tę pracę otrzymała na-

grodę, jaką sobie sama wyznaczyła? — »tę fujarkę wioskową z wierzbiny«, co znaczy, że lud zna jej pieśni, zna jej miłość ku sobie i równą jej odpłaca miłością? Nie stało się to jeszcze w tej mierze, w jakiej pragnie tego Konopnicka, w jakiej zasługują na to jej przecudne utwory, — to właśnie cel dopiero tej książeczki! Nie odkładajcie jej przeto z rąk, czytajcie dalej, rozpowszechniajcie z chaty do chaty. Poznajcie Waszą pieśniarkę; niech się nie skarzy, że »wy jej nie znacie«, bo ona chociaż »nie zna Was, nie widziała« każdego poszczególnie i osobiście, to »przecież nie obca i związana z Wami« sercem i pieśnią, związana z całym ludem, z którym przez 25 lat radowała się lub płakała, jak »brzoza, zasadzona przy wieśniaczej chacie, — dźwięczała jej piosenką, płakała jej łzami«.

Niechaj książeczka ta będzie pośrednikiem, niby swatem, między ludem polskim, a jego pieśniarką, podając Wam przynajmniej wyjątki drobne z tych utworów i pieśni, które nie o Was, lecz dla Was pisała, z Waszego serca i duszy. Niech się spełni jej życzenie:

Ktoby mi to dał, o Boże!
Ktoby mi to dał,
Aby pieśni moje były
Na kształt złotych strzał!
I leciały w dal błękitną
I leciały w dal,
Gdzie bławatki modre kwitną
W pośród żytnich fal.

Niechajże lecą i głoszą:

Zmartwychwstanie tym ziarnom, co w roli
Przebyły zimę wiekowej niewoli!

Pokłosie z utworów.

Dwadzieścia pięć lat, — to spory kawał czasu, przez który i plonu zebrało się niemało. Utwory Maryi Konopnickiej stanowią, na ogół biorąc, trzy grupy 1. Drobne utwory wierszem, »Pieśni«, pisane w różnych czasach i pod wpływem rozmaitych wrażeń; 2. cały szereg nowel (małych powieści) prozą i 3. wielka opowieść z życia ludu naszego na wychodźctwie: »Pan Balcer w Ameryce«, pierwsza epopeja ludowa w naszej poezyi.

Nie mamy dotąd ani zupełnego zbiorowego wydania utworów Konopnickiej, ani taniego wydania dla ludu, i stąd pochodzi, że lud nasz nie zna prawie wcale swej pieśniarki. Kilka jedynie drobnych urywków pomieszczono w książkach szkolnych, co z uznaniem podnosimy, kilka mniejszych utworów podały niektóre pisma ludowe; np. wydawana przez »Macierz Polską« Gazetka ludowa »Niedziela« umieściła w tym roku wiersz: »Jaskółka« i protest przeciw gwałtom wrześnieńskim: »Prusak męczy polskie dzieci«. — I w tej książeczce nie możemy oczywiście nawet wzmianki zrobić o tem wszystkiem, co na dosłowne zasługiwałoby

powtórzenie; z wielkiego plonu musimy poprzestać na bardzo szczupłem »pokłosiu«, byle wykazać, że »ziemia i lud są w Niej, a Ona w nich«, jak to pięknie w swym liście powiedział o Konopnickiej H. Sienkiewicz. Pierwszeństwo oddajemy opisowi wsi polskiej, wyjętemu z grupy drobnych utworów poetycznych pod zbiorowym napisem: »Obrazki«.

W jednej ze swych pieśni tak się zapytuje pieśniarka ludu polskiego:

A kto ciebie będzie złotem,
Wiosko odziewał?
I tęczowem wód rzeszotem
Blaski przelewał?
Kto ci będzie słał pod nogi
Jasne kolory?
Gdy zapada dzionek błogi
Za lasy, bory, het cudze,
Za lasy, bory!
A kto w twoich krzywych kosach
Iskry rozżarzy?
Kto po łąkach i po wrzosach
Zbudzi kosarzy o świcie,
Zbudzi kosarzy?

Otóż jej samej przypadło to zadanie w udziale; ona sama tę wioskę w swych pieśniach przecudnie »złotem« słów odziała, »jasne kolory« pod nogi jej posłała. Wszystkie opisy wsi polskiej są w utworach Konopnickiej prześliczne, podajemy ten jeden tylko.

W wielkiem jakiemś mieście widzimy matkę z dzieckiem. Mieszkają w ciasnej izbie piwnicznej.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury;
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada.....
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

Dziecko pyta matki:

Moja mateńko, moja rodzona,
Jak też na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku
Po trawce, po zielonej?
I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
I widzą het..... obłoki?

Domyślamy się z dalszej treści pieśni, że matka ta pochodzi ze wsi, że może bieda, a może i ciekawość do świata zapędziła ją do wielkiego miasta i tu wyszła za mąż za kowala, który na »czarny chleb« pracuje młotem gdzieś w fabryce. Ona zaś siedzi w tej ponurej izbie i szyje, a słowa dziecka przypominają jej młodość i rodzinną wioskę. Na pytanie więc dziecka tak odpowiada:

Oj widzą, synku, wszyściuśko widzą,
Caluśki świat szeroki,
Oj widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza
I jak znów rankiem wstaje...

UNIWERSYTET KARSKI BIBLIOTEKA FILIA W B-SKU

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak ziemia rodzi czarna.
Oj widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną.

Dziecku nie dość tego, ono pyta dalej:

A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?

Matka odpowiada z ciężkiem westchnieniem:

Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne.....

Dziecko nie widzi smutku matki i dalej pyta:

To i Pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci;
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci.....
Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?

Matce łzy już w oczach się kręcą. Myślą przenosi się do rodzinnej wioski, widzi sercem te pola, po których dzieckiem sama biegała, i odpowiada:

W polu, to — synku — zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu.

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa,
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa.
Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.
A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie.
Od spodu słoma, jak trzcina stoi,
Ot gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie.
A jęczmień, to ci taki wąsaty,
A gryka taka miodna,
A lny — jak niebo... a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.
A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni,
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni.

Dziecko odsłuchać się nie może tych dziwów i pyta znowu:

Moja mateńko, moja rodzona!
A jak tam na tej łące?

Matka więc opisuje:

Na łące, synku, to trawki rosną,
W srebrzystej mgle stojące.....
A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem oczkiem mruga.
A po mokradłach bocian szczudłuje
I żaby dziobem bierze,
A skowroneczek do nieba leci
I śpiewa swe pacierze.
A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska.....
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.
Brzeżkiem, nad rowem, złocieniec rośnie
I wierzba na fujarki,
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa
Sznurkuje derkacz szparki.
A po przydrożku, pod leśną ścianą
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą.

Dziecko umilka na chwilę, śni o tych cudach wsi polskiej, ale matka mu kiedyś coś i o lesie wspominała, pyta więc jeszcze:

Moja mateńko, moja rodzona!
A jak tam jest w tym lesie?

Matka przywołuje na pamięć swe dziecinne lata, gdy z dzbanuszkiem do lasu na poziomki chodziła, — i tak znowu las opisuje:

W lesie to synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie.
I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach.
A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że gdzie!... I ksiądz sam nie ma
Na Boże Ciało, na procesyi,
Takiego baldachima!
Dęby a jodły, jako te wieże
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.
A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą;
A dzień się przez nie, jak sitem, sieje
I patrzy złotą rzęsą.
Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie;
A jarzębiny w kolorach stoją,
I pachną leśne wiśnie.
A jakieto tam są gniazda ptasie,
Furkania a szczebioty.....
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.
A co tam żuczków, a muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów, tkanych jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka, a naszczekuje:
A nawróć się! A zasię!
A z Bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze.....
A dech ci taki słodki, a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła, —
Bo smółki topną i mirrę sączą,
I zdrowiem tchną tam zioła.....

Dziecko, zasłyszawszy o zdrowiu, przypomina sobie, że jest chore, przerywa więc matce pytaniem:

A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w owym lesie?
A w tej piwnicy, tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie.....

Matka zalewa się rzewnemi łzami i odpowiada sobie cicho we własnem sercu:

Oj! ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
Jak ten wróbelek lichy.....
Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją głoweńkę
Zakopać w dołek czarny!

Dziecko nie rozumie, dlaczego matka płacze. Myśli, że może za rodzinnem miejscem łzy leje, więc ją

pociesza nadzieją, którą samo od niej zapewne kiedyś słyszało, że pojadą na wieś i nakarmią oczy jej pięknością, płuca jej tchem ożywczym.

Nie płaczcie matuś, nie płaczcie ino!
Możeć się jeszcze uda.....
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakieto są tam cuda?

I biedna matka ociera łzy, a rozpowiada dalej:

Oj są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne, a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecone.....
Oj są tam takie cuda na niebie
I na tej Bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!

Czyż w opisie tym słowa nie są zarazem muzyką tą odwieczną muzyką naszych pól i lasów, która wprost za serce chwyta? Czy nie odczuwacie w duszy podobnej muzyki, gdy na wiosnę wczesnym rankiem ruszacie w pole z pługiem, albo w lecie z kosą, czy sierpem?

Powiedzieliśmy poprzednio, że ową matkę, która swej dziecinie tak pięknie opisuje rodzinną wioskę, zapędziła do miasta może bieda, a może i ciekawość, tak częsta u młodych zwłaszcza. Zna tę »ciekawość« nasza pieśniarka i tak ją słowami, włożonemi w usta wiejskiego dziewczęcia, opisuje:

Lecz sina dal pociąga i wabi i nęci,
Jak cud nieznany....
Ej! ujrzę raz na oczy insze sianożęci
Insze kurhany!
Ej, posłyszę ja przecież, jakto ludzie gwarzą
Obcym mi gwarem....
I wypatrzę miesiączek, z jaką wstaje twarzą
Nad cudzym jarem....
I dowiem się raz wreszcie, gdzie tęcza podziewa
Wstążek swych końce?
I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa
Echo mdlejące.
U nas w wiosce znam wszystko, wszystkiegom już syta
Aż do znudzenia.....

Lud nasz jednak kocha tę ziemię rodzinną i tę wioskę polską miłością wielką, a ona go z tej »dali sinej« ciągnie ku sobie siłą nieprzepartą, tęsknotą ciężką. Tęsknotę ową wyśpiewała poetka w kilku piosenkach; ot np. jak przemawia wychodźca do słonka na obczyźnie:

Ty tutaj, słonko? — A kto tam świeci
Nad wioską naszą lichą?
Kto ze snu budzi kwiaty i dzieci
W poranną zorzę cichą?
Kto rzuca w naszą strugę na łące,
Co płynie wstęgą siną,
Złote iskierki, lekko tańczące
Między zieloną trzciną?
. . . . . .
Kto tam na polu wyzłaca kłosy?

Kto lny u płotów suszy?
Kto pije z białych powojów rosy,
A smutek z chłopskiej duszy?
. . . . . .
Kto na jabłoni owoc zapala,
Roztula jaskry złote?
Kto o zachodzie serce rozżala
W przedsennych dum tęsknotę?
Kto złoci siwą dziadusia głowę,
Gdy dawne czasy roi?
Kto z mgły wilgotnej budzi dąbrowę?
Kto nam fujarki stroi?
. . . . . .
O, słonko moje! wracaj po niebie
Do miłej naszej wioski!
Bo tam jej przyjdzie zmarnieć bez ciebie
Od tęsknot i od troski.

Kocha lud nasz ojczysty zagon i umie go twardo bronić przed obcymi:

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
»Sprzedaj chłopie rolę,
Będziesz miał czerwieńce!
Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole.....
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole«.
A mój Niemcze miły
Idźże, kędy raczysz!
Ale mojej roli równo nie obaczysz.

Schowaj se czerwieńce
I białe talary;
Kto sprzedaje ziemię,
Nie naszej ten wiary!

I wylicza polski kmieć Niemcowi wszystkie piękności ziemi rodzinnej: i «miesiączek złoty« i świt poranny i chatę i kościółek wiejski, nawet ten

....cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady,
Gdzie leżą w mogiłkach
Ojcowie i dziady.
A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła:
»Chodź chłopie do nieba!«

Że nie same smutki jednak opiewa pieśniarka ludu polskiego, na dowód tego przytaczamy piękny wierszyk »Wesele«:

Na Mazurach sławne gody:
Przegryź chleba, popij wody,
Przegryź chleba razowego,
Popij zdroju krynicznego!
Od zapiecka do zapiecka
Idzie droga mazowiecka;
Od komina do komina,
Na skrzypeczkach Stach wyrzyna!
Równem polem granie leci,
Wyszły na próg ze wsi dzieci;
Równem polem, nizkim gajem,
Kasię dzisiaj za mąż dajem!

A któraż to panna młoda?
— Buzia u niej, jak jagoda,
Gorset cudnie wyszywany,
Wianek rutą przewijany.
A i któryż to pan młody?
— Ustąp z drogi! Nie mąć wody!
Trzos skórzany, ręka w biodra,
A u czapy wstążka modra!

. . . . . .

Lud odczuwa smutną dolę ojczyzny i w jegoto imieniu prowadzi poetka taką rozmowę z Wisłą:

A co ty nam niesiesz z drogi
Stara nasza Wisło,
Że nad tobą wichrów tyle,
Tyle chmur zawisło?

Jeśli idziesz od Karpatów,
Co pod śniegiem stoją,
Czemuż to nas fale twoje
Mętną wodą poją?...

Jeśli idziesz od Krakowa,
Jako Krakowianka,
Czemu w tęsknych szumach płyniesz,
Bez pieśni, bez wianka?

. . . . . .

O! jak smętno jest ptaszynie,
Gdy nad grobem leci...
O! tak smętno matce Wiśle,
Gdy się skarżą dzieci...

Zerwały się orły z gniazda
Wysoko od ziemi —
Pomąciły białe śniegi
Skrzydłami czarnemi...

Wyschły kwiaty na dolinie
Podlewane łzami,
Burza pieśni zagłuszyła
Mroźnymi wichrami...

Więc dziś mętne moje wody
Przez te pola niosę,
I zabieram z czarnej roli
Gorżką, krwawą rosę...

Więc do morza z skargą idę,
Zasmucona, cicha,
Za mną płaczą jasne zdroje,
I ta ziemia wzdycha...

Ale lud polski budzi się już na wołanie tej ojczyzny i staje do pracy narodowej. Oto Jasiek rozmyślał zapewne długo o tych, którzy pod Racławicami szli z kosą na armaty, i w skutek tego rozmyślania ma taki piękny sen:

»Śniło mi się na zorzę,
Na samiutkie świtanie,
Że po łąkach szedł anioł
W prostej, zgrzebnej sukmanie.
A miał nogi on bose,
Na koszuli len szary.
A okrutną niósł kosę
I z grabliskiem do pary.

Jak najtęższy dąb w lesie,
Taką ci miał urodę,
I zahuczał jak wicher:
»Będziem mieli pogodę«.
I tak przeszedł przez pola,
Jak ta jasność, co błyska,
A precz wołał ku chatom:
— »A wstawajcie, ludziska!«

Ten »anioł«, — to ojczyzna nasza; taką będzie, gdy lud rolny, wszystek a wszystek, do siebie przygarnie. Jaśkowi zaś sen mówi, że »ludziska wstają« na wołanie tego anioła biednego, ale jak dąb krzepkiego.

Aż tu kupa narodu,
Na gościniec się wali.....
Ja za kosę ze ściany,
Kosa złotem się pali.
A co kosić będziewa?
Pyta jeden, to drugi,
Czy ten łężek pod lasem?
Czy ten spłacheć od strugi?

Ale »anioł« — ojczyzna prowadzi lud do innej pracy:

A on precz nas prowadzi
Prościuteńko na słońce,
Co już weszło nad ziemię,
W złotych zorzach grające.

Tem słonkiem, »co już weszło nad ziemię«, — to oświata, która lud polski uświadamia, to miłość ku ojczyźnie i narodowości, która stapia wszystkie stany w jeden naród. Do tej łączności wzywa pieśniarka:

Po pradziadach my, dziedzice
Objęli długi,
Przecież stać nas na płużyce,
Stać nas na pługi.
Stańmy tylko wszyscy razem
W polu otwartem,
I obliczmy się z żelazem
I z jego hartem.
Potem idźmy w imię Boże
Na czarną rolę,
A kto orze, ten wyorze
Swoją dobrą dolę!

A przecież z miłością ojczyzny w parze idzie, jak jej starsza siostra, miłość wiary świętej. Czy o niej zapomniała pieśniarka ludu polskiego? O nie! i jej składa w dani dużo swych pieśni, a łączy obie te miłości razem, jak i lud nasz to czyni. Oto choćby jako jeden przykład podajemy wyjątek z utworu »W wielki piątek«:

Tak mi się czasem wydaje, o Chryste,
Że nie tam kędyś daleko za morzem,
Aleś tu u nas miał drogi cierniste
I żeś tu naszem przechodził się zbożem,
. . . . . .
I że tu w którejś z chat naszych, o Panie,
Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Był Twój wieczernik smętny i rozstanie,
I chleb łamany z braćmi, i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ściany, —
I pożegnania kielich — krwią nalany.
. . . . . .

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
W pęta zakuty i sieczon u słupa.....
Bo tak mi, Chryste, znajome Twe rany,
I siność Twoja, i katów Twych kupa,
I świst rzemieni, co krają, jak nożem, —
Że to nie mogło być tam, gdzieś za morzem!
. . . . . .
I to wiem, Panie, żeś tu kędyś blizko
Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko,
I żeś krwią Swoją tę ziemię zakrwawił.
. . . . . .
I zdaje mi się, że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawalon kamieniem,
I że straż pilna czyni się przy Tobie.....
Ale ja czekam z tęsknotą i drzeniem,
Bo wiem i czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim będzie Twoje zmartwychwstanie!

Piękną zaś legendę naszego ludu »Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi« tak kończy poetka:

Więc dotąd jeszcze, gdy w letniej dobie
Kwiat gęsto kryje grzędy,
To starzy ludzie gadają sobie:
— »Pan Jezus przeszedł tędy!«

Trudno się oderwać od tych rozlicznych piękności, które pieśniarka ludu polskiego obficie rozsypała w swych utworach, które w ciągu 25 lat z ojczystej niwy zerwała. Daj Boże! aby jak najrychlej ułożył kto wianek z tych kwiatów w jedną książkę, przeznaczoną dla ludu, a o tyle tanią, aby się mogła pod każdą znaleźć strzechą. My musimy kończyć ten rozdział, aby jeszcze

podać krótką treść największego utworu Maryi Konopnickiej: »Pan Balcer w Ameryce«. Emigracya jest jednym z tych przejawów w dziejach rozwoju naszego ludu, które nie czas jeszcze było należycie ocenić, osądzić. Ciągnie lud nasz, jak ptaki przelotne, za morze, ciągnie tam, choć go serce boli za rodzinną ziemią, która go niby łańcuchem do siebie przykuła. Upadek polityczny naszej ojczyzny pociągnął za sobą także upadek ekonomiczny, biedę i zastój, wśród których wyżyć trudno. Ciągnie więc lud lepszej szukać doli za morza, za dalekie, ale znachodzi często cierpienia i zawody, na których wspomnienie ściska się serce. Znaczna część tych »ptaków przelotnych« wraca pod rodzinną strzechę, wraca z zarobkiem, wraca z pewną oświatą, z rozbudzoną energią. Inni tam za morzem zdołali się skupić w gromady i polskie budują kościoły, polskie wznoszą szkoły, aby nie zapomnieć rodzinnej mowy i ojczyzny, z której wyszli. Ale tysiące zginęły marnie, tysiące nie znalazły tego, czego szukać poszły, a szczęśliwi ci, którzy z tej walki uratowali życie. Losy takiej właśnie jednej gromady przedstawia przepięknie Marya Konopnicka w opowiadaniu jednego z uczestników. W utworze tym odmalowała poetka i zalety i wady ludu naszego, które uwydatniają się właśnie tem lepiej, że autorka przeniosła ten lud, z rozmaitych dzielnic Polski pochodzący, pod obce niebo i w niezwykłe warunki. Trudno wyliczyć wszystkie zalety, trudno określić piękno tego utworu; lepiej je może osądzicie, Czytelnicy, z samej treści i przytoczonych wyjątków, chociaż dla braku miejsca w tej książeczce bardzo ich mało w streszczenie wplatamy.

Pan Balcer w Ameryce.

Pan Balcer jest typem rzemieślnika-rolnika. W rodzinnej wiosce był kowalem i widać bardzo zamiłowanym w swem rzemiośle, a przywiązanym do ojczystej ziemi, bo zaraz pierwszej nocy na okręcie, gdy usnął nad ranem, śni mu się:

Kuźnia, kowadło, ognisko, obcęgi.....
Słucham, — z łąk leci gęganie gąsiora,
Patrzę — chłop szkapie przyciąga popręgi,
Jasiek w miech dyma, lśnią w słońcu ufnale,
A ja podkowę, co siły mam, walę!
Niejeden to tam śnić musiał tej nocy
O chacie, o swym zagonie, o rodzie.....

Co było powodem, że ten dzielny kowal porzucił swą kuźnię i wioskę rodzinną, a puścił się do Ameryki, tego autorka nie podaje. Widzimy go już na morzu, na jednym z tych okrętów, które tysiące naszych emigrantów, jak śledzi, ładowały i do Ameryki przewoziły. Gdy się już znalazł na okręcie, ogarnęła go znana zuchowatość polskiego chłopa.

»A w imię Ojca, i Syna, i Ducha!
Zrobiłem święty krzyż: płynąć, to płynąć!
Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha,
Katolik przecie, Bóg nie da mu zginąć.
I zaraz we mnie wstąpiła otucha,
A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
Więc ognia wziąłem i czapkę-m nacisnął
Na lewe ucho; wtem sygnał zaświsnął«.

Dalej opisuje nam pan Balcer dokładnie wyruszenie z portu i pierwsze wrażenia pobytu na okręcie.

To i nie dziwo, żem zrazu w tym warze
Nie wiedział nawet, co z naszą gromadą.
Stalić tam w dymach kotłowych i w parze,
Zbici na kupę, jak owiec tych stado,
Gdy je zapłoszy wilk; spojrzałem w twarze:
Te, jedne w sino mienią się, te w blado;
W oczach błąd jakiś, kolana dygocą,
Stoją, jak gdyby ujęci złą mocą.
Każdy to wiedział, że morze nie łacha,
Poły nie ugnie, nie przejdzie go brodem;
Aleć dopiero tu doznał on stracha,
Tutaj na grzbiecie pot ściął mu się lodem
I widać było, jak tłum ten się waha,
Oblany krwawym, ogromnym zachodem,
Jako łan żytni, gdy wiatry nim chwieją,
Między żałością i między nadzieją.

Słońce wreszcie zaszło całkiem, a na niebie zjawiła się pierwsza gwiazda.

I liczko swoje złociste, a blade,
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W onych to światłach litosnych na ziemię!
Wszystkie się głowy podniosły i wzbiły,
Jakoby tknięte ognistym tchem w ciemię;
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemię,
Z jękiem padł głośnym na oba kolana:
»O gwiazdo morza! O karmiąca Pana!«

. . . . . .

Szeroko pieśń się rozniosła w przestworze,
Bo ludu kupa była do tysiąca.
Pod nią, jak organ, dawało głos morze,
Nad nią ta gwiazda sino błyskająca; —
Gwiazda, co gdzieś tam po naszym ugorze,
Po naszych polach chodziła świetląca,
A teraz przyszła tu, zliczyć te głowy
I dzieciąteczek posrebrzyć włos płowy.
I tak nas zaszła noc nad tą głębiną,
Z wyciągniętemi klęczących ramiony;
Jak te bociany, gdy loty rozwiną
Od gniazd, gdzie miały bezpieczne uchrony,
A nie wiedzące są, czyli nie zginą,
Czyli na strzechy wrócą i na brony.....

Noc zapadła, majtkowie spędzili rozmodloną gromadę z pokładu i każdy począł szukać kąta do noclegu. Niestety! okręt nabrał więcej podróżnych, niż ich mógł pomieścić. Siłą więc prawie trzeba było zdobywać ten kąt, gdzieby głowę można skłonić; a chociaż wreszcie legli pokotem, to usnąć nie mogli, budzeni kołysaniem okrętu, ciężkimi snami i zrywającym się co chwila krzykiem.

Dzieciątka tylko pośpiły się chiche,
Jakby się nigdy przebudzić nie chciały.
Pisklęta drobne, bezpióre i liche,
Gdzie które padło, jak padło, tak spały.
Człowiek choć we śnie, a różną ma pychę
I różną żądzę: lecz taki ptak biały
Mógłby na piersiach Chrystusa spać Pana,
Jako rzeczonem jest o głowie Jana.

Ledwie dzień nastał, wychodźcy opuścili niewygodne leże i wysypali się na pokład. Tu posilili się żywnością, którą jeszcze mieli w swych tobołkach, a potem rozpoczęły się rozmowy w gromadach.

Dopieroż było napatrzeć się czego,
Onych ubiorów i ludzkiej odmiany!
Bo się tu zeszli precz z kraju całego:
Mazury, Kurpie, Łomżaki, Płocczany,
Ci gdzieś od Warty, od Buga samego,
Tamte od Narwi brunatne sukmany,
A w każdym inszy ruch, insza postawa:
Tak się to ziemia w narodzie wydawa.

Pan Balcer tymczasem, jako człek ciekawy, ogląda okręt i opisuje go szczegółowo. Potem zbliża się do jednej z rozmawiających gromadek, gdzie z pogawędki kłótnia się wywiązała. Już już i do bójki blizko, ale bywalec i wysłużony żołnierz, nazwiskiem Opacz, opowiedział jakiś żarcik z swej wojskowej służby i tem burzę zażegnał, bo

Rozśmiał się jeden, więc drugi, więc trzeci,
I tak w łeb wzięła naczęta już zwada.

Bo u nas naród, jak słomę zanieci:
Ogień na chwilę — i zaraz opada;
Porwie się to to na oślep i leci....
A niech kto z nagła zastąpi, zagada,
To się zawróci, jak wilk, gdy mu w ślepie
Pastuch ze strachu płachciątkiem zatrzepie.

Tak opisuje pan Balcer dokładnie całą podróż z wszystkimi szczegółami. Miejscaby tu nie stało wszystko powtarzać, przytoczymy więc tylko kilka ważniejszych zdarzeń. Po kilku dniach z ciasnoty, zmiany powietrza, upału i złej strawy poczęły się szerzyć choroby wśród wychodźców

A to i jadło co dnia ci się widzi
Gorsze, a wody chcesz, to bij się o nią.
Brud, ścisk, już człowiek sam sobą się brzydzi,
Już jeść nie idzie do misy, choć dzwonią.
Więc jako w kuczce swej sądnej żydzi,
Tak my, nad onych niezmiernych wód tonią
Siedzieli w tłoku i w duchu tym parnym,
Każdy pod męki swej płatem czarnym. —
Het, precz odeszła ta dobra otucha,
Która nas zrazu po morzu tem wiodła.

A dalej tak opowiada pan Balcer:

Aż w to zło jedno i drugie się wdało:
Ludzie zaczęli grać. Po kątach zrazu,
Dorywkiem, ciszkiem, kryjomo, nieśmiało,
Stawił tam jeden i drugi po razu,
Aż się wciągnęli.....

A wszystko w hazard szło! Bo chłop jest świeży
Na takie rzeczy, więc strasznie gorący,
I jak się puści, to duszy odbieży,
Póki nie skipi w nim ten wrzątek rwący.....

Takto próżnowanie do złego przywodzi. Zjawił się też zaraz jakiś obcy oszust, który umiał karciane sztuczki i ogrywał do cna łatwowiernych, a gorących chłopów naszych.

Aż się Przytuła zgrał do suchej nici,
A miał grosz godny, bo sprzedał w Obrytem
Szmat gruntu, chatę, i tutaj na wici,
Po Bugu, z onem grosiwem, zaszytem
W szkaplerzach, dobił.....

Ów Przytuła chciał się utopić w morzu z rozpaczy, ale go inni wstrzymali. Potem śledził już tylko pilnie oszusta, patrząc mu ciągle z boku na ręce, gdy grał z innymi. Wyłapał go też wreszcie na oszustwie.

Spojrzy, a łyczek ma karty w rękawie
Insze i niemi, gdzie trzeba, to sunie.....
Zbladł chłop, jak wapno, skamieniał aż prawie.
Jakże mu potem krew w lico nie lunie,
Jakże nie skoczy, nie zaklnie plugawie,
Jakże na łyczka piorunem nie runie,
O ziem i po nim! A psie ty fałszywy!
Nie zajdzie słońce, dopókiś ty żywy!

I byłby udusił oszusta, albo i nożem żgnął, co go miał za cholewą, gdyby się nie wdał w całą sprawę stary Horodziej, patryarcha między wychodźcami.

Ten na wpół ślepy był z wielkiej starości,
Więc obie ręce przed siebie w świat trzyma,
I laską puka, jak gdyby w ciemności
Drogi swej szukał zgasłemi oczyma.
Namkli się ludzie dla zeszłych tych kości;
Dziad do Przytuły i za kark go ima
I dalej w kija po nim, jako w cepy!
Musi nie zawsze tak do cna był ślepy.
»A wstajesz mi ty? Po takim cię kęsie
Pies przez chałupę nie puści do matki!
Wstawaj, bo będę prał, choć jestem stary.....
A ty, złodzieju, oddawaj talary!«

Wyratowawszy oszusta z rąk Przytuły, a talary Przytuły z kieszeni wykpigrosza, nie szczędzi stary Horodziej słów prawdy wszystkim graczom, grożąc karą Bożą, i zagania ich do pracy, aby choć majtkom liny zwijać pomagali.

Dalej! Choć zwijać te liny, te sznury,
Aby te ręce o pracę zaczepić!

Stare doświadczenie mówiło mu, że w pracy jedyne lekarstwo na to złe, co się wśród wychodźców szerzyć zaczęło.

Tymczasem dzieci, jako najsłabsze, zaczęły mrzeć jedno po drugiem. Z powodu panujących upałów nie można było odkładać pogrzebu na długo, a pogrzeb na morzu tak pan Balcer opisuje:

Ale się długo nikt z niemi nie bawił.
Jeszcze to w oczach ma ciepłe te łezki
Ostatnie, — pachoł już sznura przyprawił,
Już nim okręcił trupa i do deski.....

Pokląkł kto bliżej, by pacierz odprawił,
Wtem chlup do morza! Ojcze Niebieski,
Szukajże teraz tej duszy gdzie na dnie,
Bo ci z anielskich regestrów przepadnie!

Ten rodzaj pogrzebu i kręcące się około okrętów rekiny, które zwłoki zmarłych dziatek zaraz pożerały, przyprawiały o najwyższą rozpacz biedne matki. Straszny się też zdarzył wypadek z tego powodu. Szczęśniakowej, młodej kobiecie, zmarł jedyny synek, Jasio. Biedna kobieta, aby zwłok jego nie oddać morzu i rekinóm, zataiła śmierć dziecka i kryła się ze zwłokami w kajucie, aż i sama z tego strachu i zaduchu silnej dostała gorączki. Tymczasem rozchodzący się zapach trupi zwrócił uwagę majtków i rozpoczęły się poszukiwania. Znaleźli zwłoki na rękach matki, wydarli je przemocą i nuż przywiązywać do deski. Kobieta rwie się w malignie do dziecka, mąż ją wstrzymuje.

Złożyli trupka, ciągną sznur, sztuk belki
Tuż przed nią... Hanka i nie spojrzy na nie;
Tylko w ten obszar zapatrzy się wielki,
W te niezmierzone wód sinych otchłanie....
Aż rzecze słodkim głosem rodzicielki,
Co dla pieszczocha szykuje posłanie:
— »Puść Józef! Chuścię Jaśkowi podłożę«.....
Puścił chłop, — a ta za dziecko i w morze!

Serdeczna! wolała razem ze zwłokami dziecka zginąć, niż je samo oddać głębiom morskim.

Strasznym jest również opis burzy, którą wychodźcy w tej podróży przebyli, tudzież opis pożaru jakiegoś okrętu, który piorun zapalił. Z okrętu, na

którym jechali nasi wychodźcy, pospieszono wprawdzie na ratunek podróżnym, znajdującym się na statku płonącym, ale zdołano część ich tylko uratować; reszta zginęła w płomieniach lub w morzu.

Tak po rozmaitych przygodach kilkutygodniowej podróży przez ocean zawinęli nareszcie nasi wychodźcy do portu brazylijskiego.

Ląd! ląd! brzeg! ziemia! Tłum ciśnie się, tłoczy,
Niepewny w nogach, chwiejący, zemdlały:
Wezbrane serca, zmącone w łzach oczy,
Na ten świat nowy..... Wtem bębny zagrały.
— Kardynał! krzykniem. Aż nagle otoczy
Nas zewsząd wojsko. Cofa się zdumiały
Lud, dzieci płaczą, baby wrzasły: »Rety!«
Oficer krzyknął: »Marsz!« Błysły bagnety.

Dla wyjaśnienia tego okrzyku: »Kardynał« musimy dodać, że ajenci emigracyjni mamili lud w najrozmaitszy sposób. Między innemi kłamstwami głosili też, że Brazylia jest krajem bogatym, ale naród tam czarny, dziki, dlatego więc sprowadzają katolików, na których w porcie czekać już będzie królowa i kardynał, aby im łaskawość swą okazać. Gdy więc wychodźcy usłyszeli odgłos bębnów, sądzili, że przybył kardynał dla powitania ich, ale zamiast uroczystego przyjęcia otoczyło ich wojsko i popędziło do portowego baraku.

Pan Balcer widzi już, przeczuwa przynajmniej, że źle się stało.

Oj, głupi naród i ja z nim też głupi,
Żeśmy swych w świecie szukali wolności!

Oj, źle ten dolę i sprzeda i kupi,
Kto się na cudze zamieniać jął włości!
Tam chłopie próchniej, gdzie Bóg cię wesłupi,
Żeby w swym domu mieć belkę z twej kości!

Ale co się stało, to się nie odstanie. Rząd dał przewodników i ci prowadzą wychodźców z portu w głąb kraju; ruszyli z pieśnią »Kto się w opiekę« na ustach. Kraj bujny i pełen dziwów, a pan Balcer opisuje go po swojemu prześlicznie. Wnet jednak drugi zły znak na drodze spotykają.

Kupa bab z dziećmi wędruje płacząca,
Tobołki niosą, a idą piechotą,
Omdlewające z pożaru gorąca.

Pana Balcera coś odrazu tknęło, że swoich widzi. Rzeczywiście

.....cała owa kompanija
Zakrzyknie: »Stójcie, stój, Jezus, Marya!
Toż nasi! Ludzie! A czy was pioruny
Niebieskie biły? Czy siła nieczysta
Wpędziła was tu po deski do trumny?
Toć piekło żywe jest! kraj Antychrysta!
Jeśli wam żywot miły i fortuny,
Wracajcie do domu! Do dom się, jak glista,
Tą ziemią kopcie!.... To nie dla człowieka
Kraj jest! Kto nie trup jeszcze, niech ucieka!

Ale nie usłuchali, bo i wracać już było nijak i Bóg już tak chciał, by tej samej doli na sobie doświadczyli. Doszli do Pinhero i tam ich znowu w barakach dla wychodźców umieszczono, dopokąd nie zjedzie komisya, która miała im działy odwiecznych borów

wyznaczyć. Długieto było czekanie; burzą się wychodźcy, którym nudzi się już bez pracy i ruchu. A jak to u naszego ludu prędkie przejście od zgryzoty do zabawy, więc sobie czekanie muzyką i hulaniem skracają. Tymczasem znana żółta febra brazylijska rzuciła się na nich i dzień

...wstał dla nas od trupich lic siny
I mary zaczął podnosić po marach.

Przyszła druga partya kolonistów, sami Niemcy. Pan Balcer bardzo trafnie porównuje usposobienie Niemców i Polaków. O Niemcach mówi:

Nic nie znać na nich tęskności, żałoby,
Pod którą brat nasz z sił schodzi i pada...
Spokojnie czynią rzecz swoją, jakoby
Tu się rodzili i żyli z pradziada.
. . . . . .
A szło to wszystko tak, jakby zawczasu
Wiedzieli, po co idą, z czem jak będzie;
Powoli, cicho, zgodnie, bez hałasu,
Siłę swą z sobą i ład niosąc wszędzie.

Nam tego nie dostaje, oj, i bardzo nie dostaje. Niemcy np., gdy dostrzegli zarazę w barakach wychodźczych, zaraz

Szwaby się od nas wyniosły na góry,
Nuż ognie palić wielkie, kurzyć dymy!
Tak się rozwlokły nad nimi te chmury
W słońcu, jak gdyby złote baldachimy.
A uczyniwszy od nas tę przegrodę,
Po jadło tylko chodzili i wodę.

Co widząc, rzecze Przytuła: »— Hej braty!
A może myby tak samo zrobili?
Po nieboszczykach popalić te szmaty
I w góry. Choćby na jakie dwie mile...
Choćby w szałasach... To może zatraty
Ujdziem... U Szwabów mór równo nie tyli!
Lecz go zakrzykną: — Ot grzeszne gadanie!
Co ma być — będzie, co się ma stać — stanie.
Śmierć raz sądzona, tak niechaj się dzieje,
Co chce, i niech tam już wszystko zmarnieje!

U nas tak zawsze; zapominamy, że »strzeżonego Pan Bóg strzeże«, a i oświaty mamy za mało, by wiedzieć, jak się ratować. Taż u nas trafi się i tu, we własnym kraju zaraza jaka, np. tyfus, cholera, lub szkarlatyna u dzieci, to napróżno władze nakazują czystość, ostrożność; naród nie słucha, a jeszcze się burzy.

A śmierć robiła swoje i żęła, jak. . ..
Żeniec, gdy łan mu pod kosą dojrzewa.

Pan Balcer w czasie podróży okrętem zaręczył się z Jelenką Żukówną. Febra nie oszczędziła ukochanej dziewczyny, a pan Balcer tak opisuje śmierć jej:

Ratować; Czem, jak? Choć łbem bij w podłogi!
Leżała cicho, lecz była snać w męce,
Bo jej się w twarzy mieniły pożogi.....
Aż nagle siędzie, w krzyż złożyła ręce.
»Upał mam w sobie!« — zawoła. — Wiatr srogi
Po żyłach chodzi mi:« I te jagnięce
Piersi przyciśnie i szepnie: — »Już biją
Dzwony na dobrą noc.... Jezu, Maryjo«....

To były ostatnie jej słowa. Inni marli rozmaicie: spokojnie lub w męce strasznej, a wszyscy bez księdza i spowiedzi, tylko staruszka pewna, będąca w gromadzie wychodźców:

Temu w krzyż złoży stygnące już ręce,
Temu szkaplerzem śmiertelny pot zetrze,
Nad tym od pokus obżegna powietrze.....

A barakowi strażnicy, z dodanymi im do pomocy murzynami, kopali długie rowy, wrzucali w nie zmarłych i wapnem przysypywali. Zresztą i to było niepotrzebne, bo

Jeszcze my stali, gdy mrowia czerń sroga
Ruszyła... Niby piechotne kolumny
Tak sama sobą szła czarna ta droga
Na on wzgóreczek, na ciało bez trumny.
Spojrzę, już wpełzła na stóg. Już i stoga nakryła, —
[chrzęsty słychać, tak rój tłumny,
Już się przewierca wskróś, już piasek toczy.
Zniknęła, — jeszcze rusza się..... Zakryłem oczy.

Tak opisuje pan Balcer w innem miejscu napad pewnego rodzaju mrówek na groby. Mrówki te nawet chorych, gdy się im opędzić nie mogą, zjadają do kości.

Kogo zaś omijała febra, tego żarła tęsknota za krajem. Pan Balcer, choć najtwardszy w gromadzie, marzy we snach przynajmniej o pogrzebie w rodzinnym kraju, o pogrzebie z światłem, chorągwiami, biciem dzwonów.

Jednego chorego to nawet przed śmiercią w ów rów rzucili, mając go za zmarłego, ale się wydobył i na nim mamy przykład twardości chłopskiej natury.

Aliści rankiem patrzę, co u licha!
Sen li, czy jawa?... Mój Pińczuk u progu
W śmiertelnem stoi żgle[1]) i nosem czmycha...
Patrzę, aż idzie do swego barłogu,
Siadł, fajki szuka, machorką[2]) zapycha,
Cmoknął i westchnie: »Nu, tak sława Bogu!«
Wszelki duch! — krzyknę. — Czego żądasz, bracie
Umarły?... A on: — »Krzesiwka nie macie?«
Porwę się, cmoka cybuszek swój krzywy,
Jakby nic nigdy i patrzy w podłogę.
A już się zgruchnął naród na te dziwy,
Zdaleka stoją, po oczach znać trwogę...
Wtem tknie go baba i wrzaśnie: »Toć żywy!«
Dalej go insi za rękę, za nogę,
Nuż o śmierć pytać!.. Lecz nie chciał powiadać,
Tylko to jedno: — »Nie moglim się zgadać!« [3])

Pomór zabrał więcej, niż połowę wychodźców, zanim zjechała komisya i wydzieliła wreszcie działy tym, co żywi zostali. Przyszła też burza wielka, którą pan Balcer równie pięknie, jak burzę morską opisuje, — i oczyściła powietrze. Nie przytaczamy ślicznego opisu brazylijskiej puszczy, bo zająłby za dużo miejsca. Wychodźcy rozradowani, że mogą wreszcie jąć się pracy, wzięli się do niej po naszemu.

Jakże więc naród w najpierwszej tej chwili
Nie runie w puszczę, nie huknie rozgłośnie!

---

[1]) żgło=koszula.
[2]) machorka=rodzaj tytoniu.
[3]) pogodzić.

Tu się Mazury za głowy chwycili,
Że piachów niema i brzoza nie rośnie,
Stają, wracają, próbują tych dyli,
Patrzą w te kwiaty tak tkane, jak w krośnie,
A choć tam w piersiach duch ledwo kołata,
Rwą się tak, że dźwignęliby pół świata!
Z okrutną w puszczę lud rzucił się mocą
Ciąć one bory, stojące z prawieka,
Tylko te ręce, te serca dygocą,
Tylko ta dusza w siekierę ucieka.
Huczą topory dniem i huczą nocą;
Nie patrzy słońca i świtu nie czeka
Ta przesilona praca, co się zdało
W pień, do korzenia, puszczę zwali tę całą!
Wnet po wykrotach, po jarach, po chruście,
Wśród syku gadzin i papug poswarku
Latają pieśni od Wisły, od Buga,
Hulaszcza jedna, a rzewna ta druga.
Ogromnym krokiem lud wracał z roboty,
Z błyskawicami zawziątku w źrenicy,
Choć nie schodziły z czół wielkie mu poty,
Które nie z rosy były, lecz z krwawicy.

Po tej ciężkiej pracy zbierali się co wieczora koło kuźni, którą sobie pan Balcer naprędce sklecił, i radzili. Z początku wielka była otucha:

Hej, bo my pany teraz i bogacze!
Krzyknie Przytuła. — Że też to w Obrytem
Nie wiedzą ludzie nic, co ja tu znaczę!
Tu teraz gruntu tyle, tu bór przytem.
Oj, będą tutaj na bezrok kołacze,

Bo w pół pszenicą obsieję, w pół żytem!
A Roch: — »Laboga! Już puszczam popręgi!«
Insi w śmiech: — Dobry! — klaszczą w ręce — Tęgi!

Takto w pierwszych dniach raźno im było na sercu.

Lecz i do żniwa świat był i do siewu.
Rąbie chłop z ranka do nocy dni cztery
I ledwo radę da drugiemu drzewu.....
Porozpalały się w garściach siekiery,
Jak to żelazo w cęgach..... Bez odziewu,
O głodzie tnie chłop i ledwo zadziery
Uczyni w korach za dziesiątym razem,
Bo drzewo takoż zdało się żelazem.
Więc wściekłość naród brała u tych karczy:
Zdziczały chłopy tak, że choć na noże!
A jam już widział, że sił tu nie starczy,
Że nie my puszczę, lecz puszcza nas zmoże.
Topór w powietrzu aż jęczy, aż warczy,
A jak od stali, odskoczy po korze.....

I przyszło zwątpienie we własne siły, a pan Balcer tak te smutne dzieje wspomina:

Czyś Ty nas widział tam, o Chryste Panie
Straconych w onej okrutnej gęstwinie,
Gdzie żaden ludzki głos, ani wołanie
Ćmy nie przebije i stłoczony ginie?
Czyś Ty nas widział w tej pracy, o Chryste,
Potem oblane, zemdlone tułacze?
Gdybyż choć siły poprzeć, ile trzeba.....
Skąd? Czy garść mąki my tam?... kroplę mleka?
O czarny bochnie razowego chleba,
Jakżeś ty pachnął nam z tego daleka!

Do zwątpienia zaś przyłączyła się wnet tęsknota straszna i żreć poczęła cicho serca niebacznych wychodźców.

Hej ziemio, ziemio! Że my się też ciebie
Puścili, miedz twych i twojego płotu!
A toć po wodzie my tam i po chlebie
Moc większą czuli i więcej żywota,
Niż tu, gdzie wszystko naokół i w niebie
Cudze, i gdzie jest dusza, jak sierota,
Obzierająca się w dalekość siną
Za progiem chaty swej i za rodziną!
Ani tu słońce nie takie jest ranie,
Jak u nas, w tęczach palące się rosy,
Ani tych ptaków podobne śpiewanie,
Jak naszych czyżów, ziąb, skowronków głosy.
I gwiazdy niema tej, co gdy tam stanie
Nad te użątki nasze, nad pokosy,
To człek wyraźnie widzi, jak ta Boska
Moc o najlichszy kłos chłopski się troska!

Nie dawali się chłopy dłuższy czas tej sile, co serca ich do rodzinnej ciągnęła ziemi; każdy chował w sobie zwątpienie i tęsknotę. Tylko coraz smutniej i ciszej było przy kuźni pana Balcera, gdy się koło niej zeszli wieczorem.

Aż raz, gdy siedzim tak, Dudek się schyli,
Obejmie swoją niewiastę za szyję:
»Maryś? A choćby my do dom wrócili?
Do Wólki?« — Tak ona tych rzęsów odwije,
Spojrzy, to liczko zbledzone przymili:

—»A czyż Pan Jezus przez cię? Próg obmyję
Łzami.... kwiatuszków nasadzę.... Wybielę
Komin het..... krzyżem, co święto, w kościele«.....
Tu głos serdeczne złamało jej łkanie,
Trzęsą się usta urwanemi słowy.....
A po nas poszło, jak wiatru powianie,
I jak za wiatrem schyliły się głowy.....
Wstał Dudek: — »Niechta! Niech się, co chce, stanie!« —
I nie przydając nic do onej mowy,
Szeroko ręką machnął przez ćmę czarną.
Tak nam to pierwsze do serc padło ziarno.

Wnet do tego ziarna, co je zasiały zwątpienie i tęsknota za rodzinną ziemią, przyszła i druga jeszcze przyczyna. Oto:

Cierpiał lud, póki soch czekał i pługa,
Jarzemnych wołów i siewnego ziarna.
Już gospodyni, to jedna, to druga,
Dzieżę na chleby obmyśla i żarna,
Gdy wtem wieść gruchnęła, że stąd aż do juga
Kukurudz tylko i fasola czarna
Sadzona będzie, i że do tej pracy
Nie pługa, ale dostaniemy grace.

Istotnie zjechała znowu rządowa komisya, przywiozła kukurudzę i fasolę czarną na nasienie i grace do sadzenia, a zarazem, co najgorsze, rozkaz odbywania szarwarków przy budowie drogi rządowej. Przebrała się miarka. Baby same napędziły komisyę, a pan Balcer, którego gromada niby swym wodzem obrała, rzekł po naradzie: »Jutro wyruszym przed nocą!« Wyruszyli naprzód w lasy, że to łatwiej w lesie wyżyć,

jak się większości zdawało; rada pana Balcera nie została na razie przyjęta, chociaż on wiedział,

.....jako że gdzieś bliższą drogą,
Przez step, do rzeki można pod wschód słońca.
Aż pod noc trzecią — stój! Góreczka była
Niegwałtem wielka, a na niej szałasy
I krzyż. Pod krzyżem ziemia się czerniła,
Jak kopczyk chrustów, wygasłych za czasy.
Ruszym my bliżej, aż ci ta mogiła
Jak się nie porwie, nie wrzaśnie na lasy,
Jak nie zakrąży nad nami chmurzyskiem,
Z okrutnym skrzydeł łomotem i piskiem.

Pokazało się, że pod krzyżem trup leżał, trup ostatniego kolonisty, który innych przeżył po to, aby i sam się stał wreszcie pastwą drapieżnego ptactwa.

Na krzyżu napis: — »Jezus i Maryja«
Grubo wyrznięty w nierówne litery.
A zaś poniżej: »Polska kolonija
Rok osiemsetny dziewięćdziesiąt cztery«.
W około mogiłki. Po mogiłkach czerwie
Mrowi się z suchym szelestem skróś piasku.
Nie znać, co świeżo sypane, co pierwiej,
Bo wszędy górki padają się w trzasku
Spękanej ziemi, i wszędy kość biała
Sterczy, do naga obrana już z ciała.
Na kościach widno płótnianki, kapoty
Podlaskie, szyte taśmami czarnemi,
Chusty, rańtuchy niewiast i włos złoty
Dzieciątek, z onej wygrzebane ziemi.

Niektórzy z naszej gromady chcieli zaglądnąć do szałasów owej kolonii, ale Balcer nie dopuścił, bojąc się zarazy na swoich. Lecz widok ten przekonał wszystkich, że trzeba wracać, bo przez te odwieczne bory przebrnąć niepodobna. Nawrócili więc i szli stepami wśród spieki, o głodzie, szli nocami, w dzień spoczywając. W drodze tej napotkali jakieś murzyńskie plemię i tu trochę odpoczęli. Ale i wśród murzynów znalazł się ślad nędzy wychodźców polskich. Oto jakaś inna gromada wyginęła do cna, a murzyni przytulili do siebie jednego chłopaka — sierotę. Zabrali go nasi ze sobą, lecz zmarł w drodze, bo już był chory na ową straszną żółtą febrę. Step się wreszcie skończył, ale nie skończyły się męki tułaczy. Na krańcu bowiem stepu wznosiły się ogromne góry, trudniejsze jeszcze do przebycia, niż stepy. Opuściły wreszcie siły naszych wędrowców w tych górach, padli na ziemię i postanowili tak śmierci wyglądać. Uratowała ich miłość macierzyńska. Marychna Dudkowa, co to pierwsza o powrocie do kraju pomyślała, stanęła nad mężem

Cała w bladościach i łunach przestrachu,
W czarnej chuścinie, z tem dzieckiem malutkiem,
Tak świerkającem, jak wróblik na dachu.
Wlepiła w chłopa oczy, błędne smutkiem:
»Co ty?... Na dziecko zabaczyłeś Stachu?
Co ty?« — I bije oną jasną rzęsą,
A usta tylko jej się niemo trzęsą.
Wyciągnął rękę: »Nie płacz, Maryś! Co ta!
Siednij tu sobie wedle mnie, niebogo.....
Raz śmierć; Niedługać to tam z tem robota,

Bo i tak dechu mało co u kogo...
Siednij!« — Lecz ona, od łez bujnych złota,
Nagle na twarzy odmieni się srogo:
»Pies ty, nie ociec! — krzyknie — Pies! — nie siędę,
Nie zgubię dziecka! Póki tchu, szła będę!«
I zaraz, jakby wiatrem poniesiona,
Zaczęła spiesznie iść w ten pomierzch pusty.
Lecz Dudek ryknął, i wnet cała ona
Rozpacz spłynęła przez ślozów upusty,
Chwycił się: — »Maryś stój! Ja z tobą!« Zaczem
Tu, to tam, piersi zaniosły się płaczem.

I poszli wszyscy za tą matką, która nie siebie już, lecz małą dziecinę uratować chciała. Bóg się zlitował nad matczynem sercem, a dla niego i nad całą gromadą, bo oto stanęli na szczytach pasma, po którego drugiej stronie śmiały się do nich równiny, przerznięte wielką rzeką. Ta rzeka musi ich przecież zaprowadzić do morza! Spuszczają się więc w dół po stromych stokach ku owej rzece. Ale stary Horodziej, patryarcha całej gromady, co w braku księdza chrzcił dzieci i zmarłym odmawiał »Wieczne odpoczywanie«, co tyle razy swoją powagą ciszył swary i od złego wstrzymywał, rzekł zcicha:

.....»Mój panie Balcerze,
Postójcie mało, bo jakoś mi ninie
Słabo«.....

Balcer wstrzymał gromadę, a siwiutki Horodziej żegna się z nią:

.....»Ot może chciałbym z tego granu[1])
Widzieć, jak lud się dobije do końca ...,
Ale i to tam do woli już Panu!....
Niechże Was Chrystus prowadzi obrońca,
Bo ja już tego nie przebrnę Jordanu.....
Już mi czas.....
Łzy wszystkiem wysiał już, jak rosy,
Deszcz mnie polewał, by podolną trawę,
I byłem tułacz, i głodny, i bosy,
I jak pelikan, pierze miałem krwawe....
Dość ze mnie!«

A skon dał mu Pan Bóg cichy wśród widzenia cudnego.

.....Zamilkł. Nagle przez niebiosy
Szeroko spojrzał, sprostował postawę,
»Dzwony! — zakrzyknął — Dzwony z Jasnej Góry
Biją!.... Na Alleluja biją w chmury!«
Więc się rzucili ludzie na kolana,
Jak w podniesienie.. ... Słuchamy tej ciszy.....
Pękła nad nami dalekość ta szklana,
Każdyby przysiągł z nas, że dzwony słyszy.
Biją! Jako na hejnał biją zrana!
Przymknione oczy, wysoko pierś dyszy,
Ni łzy, ni głosu, a tylko w nas była
Moc zachwycenia — aż w niebo i siła.

W tem zachwyceniu śmierć Horodziejowi »lekuchno zdmuchnęła oczy«, a oni, pokrzepieni widze-

[1]) gran-granit=rodzaj bardzo twardego kamienia w górach.

niem, złożywszy ciało jego w rozpadlinę skalną, na którą wielki zatoczyli kamień, dalej poszli na wschód słońca niby za głosem tych dzwonów. Straszną była i ta przeprawa, bo aby drogi nie zmylić, szli nadrzecznemi bagnami i przedzierali się przez las trzcin i traw, co brzeg rzeki od wieków gęsto zarastały. Zaskoczył ich pożar tych traw i trzcin, a było to już pod jakąś plantacyą[1]) kawy. Ludzie z plantacyi ratowali siebie i poblizkie miasteczko w ten sposób, że wycinali w okół trzciny, aby wstrzymać pożar. Nasza gromada rzuciła się też na pomoc, chwyciwszy w garść długie, zakrzywione noże do ścinania trzciny, których im plantatorzy dostarczyli, bo są zawsze w nadrzecznych plantacyach na taki wypadek pod ręką. Uratowali plantacyę i, jak się pokazało, uratowali swojaków. Na tej bowiem plantacyi pracowała gromada polskich wychodźców, zaprzedana przez ajentów niby do niewoli, za cenę przewozu przez morze. Po powitaniach, po opisie przebytej nędzy z obu stron, postanawiają nasi tułacze pozostać na plantacyi i pomódz tym zaprzedanym do odrobienia owego długu, aby mogli wszyscy razem powrócić do kraju. Oj, nie wiedzieli, ilu ich jeszcze zginie nawet i wśród ludzi.

Na plantacyi pracowali także i Murzyni obok naszych. A że ich było znacznie więcej, wszędzie więc nad naszymi przewodzili, dokuczając im w najrozmaitszy sposób. Wreszcie jęli i kobiety napastować.

[1]) Plantacya=pole, a raczej mokradło, zasadzone drzewkami kawowemi.

Aż raz Marychna Dudkowa, przed nocą
Uśpiwszy dziecko, szła w rzece prać chusty.
W pacierz — krzyk słyszę. Tak skoczę! A to co?
Dobiegam, patrzę, a te drapichrusty
Ciągną niebogę oną i szamocą
We trzech. A bród był odeszły i pusty.
Tak krzyknę! — Bywaj! I spadnę, jak kania
Na dwóch, a Dudek trzeciego dogania.

Z tego wywiązała się formalna bitwa, bo Murzyni swoim, a nasi panu Balcerowi i Dudkowi zbiegli się pomagać. Nasi górą, ale Murzyni wpadli na ich folwark, gdzie same tylko zostały niewiasty i dzieci, zatarasowali wysokie ogrodzenie, którem były chaty wychodźców obwiedzione, i nuż mordować niewiasty i dziatki. Nasi wywalili wreszcie częstokół, nie zważając na strzały, któremi na nich sypali Murzyni. Ujrzawszy tuż za częstokołem zamordowaną Marychnę Dudkową, ujrzawszy na drzewcu jakiegoś Murzyna w górę podniesione ciałeczko dziecka i krwawe pieluchy

Tak my się wściekli. — »Jezus i Maryja!«
Nieludzkim głosem Zatrata Roch wrzaśnie:
»Noga stąd żywa nie wyjdzie niczyja«.....

Rzeczywiście wytłukli Murzynów prawie do nogi, a resztę, uciekającą ku miasteczku, parli przed sobą. W miasteczku, gdy spostrzeżono, co się dzieje, poczęto na trwogę bić we wszystkie dzwony, a ksiądz z krzyżem zastąpił drogę pędzącym do miasta:

Zakołychały sobą wszystkie dzwony
I na miesiącem wysrebrzoną drogę,

Sam srebrny, wyszedł do nas w dzwonów jęku
Wysoki, siwy ksiądz, co krzyż miał w ręku.
Jak więc, gdy nagle o mur trzaśnie głową,
Stanęlim. Ręce opadły z ożogiem.
A ksiądz — też stanął i patrzał — bez słowa.
A zaś to drzewo krzyża z Panem Bogiem
Podniósł, aż ona męka Chrystusowa
Miesięcznem światłem rozjaśniała błogiem,
I tak przeżegnał nas — Ukrzyżowany.....
Dopieroż my to w płacz, jak w te organy.
Chryste! O Chryste!.. Gdzie jest twoja wola?...
Czy nam już tutaj przepaść w cudzej ziemi?
Gdzie my, sieroty? A gdzie chaty, pola?
Chryste!... I tłuczem o ziem łbami tymi,
A jęk się dzwonów szeroko rozkola,
A krzyż opływa śladami srebrnymi.....
Tak się obrócę, jakom był u czoła,
I krzyknę, we łzach cały: — »Do kościoła!«
Tak my ruszyli zara procesyją,
A krzyż miesięczny świecił nam, gdzie droga,
A tu nad nami wszystkie dzwony biją....
I tak my przeszli święconego proga.
Dopieroż hukniem razem litaniją,
Jakby zawieja zerwała się sroga
Dusz, co gdzieś w niebo lecą pod gwiazdami:
....»Kyrie elejson!... Zmiłuj się nad nami!«....

Na tem kończy się opowiadanie pana Balcera.

Dodać jednak musimy, że wspaniały ten utwór nie jest jeszcze skończony. Autorka pisze go od roku

1892 częściami i tak ogłasza drukiem przeważnie w miesięczniku »Biblioteka warszawska«. Miejmyż nadzieję, że »Pan Balcer« wróci do ojczystej ziemi, a jego przygody, zebrane w jedną książkę, pójdą między lud na przestrogę tym, którzy bez należytego przygotowania nierozważnie za morze ciągną, — pójdą w świat na chwałę naszego piśmiennictwa, naszej mowy ojczystej.

Autorka »Pana Balcera« przy pracy.

Życiorys. Jubileusz.

O życiu jubilatki mamy dotąd skąpe bardzo wiadomości. Urodziła się w roku 1846 w Sieniątkach*), w okolicy Kalisza. Pierwsze nauki pobierała w domu rodzicielskim od ojca, człowieka światłego i ojczyznę gorąco miłującego. Przez czas dłuższy mieszkała następnie w Bronowie, a w r. 1876 przeniosła się do Warszawy. Tu przez pewien czas redagowała autorka »pana Balcera« czasopismo dla kobiet »Świt«. W r. 1890 opuściła Warszawę i bawi odtąd poza granicami Polski, głównie w Monachium, we Francyi i we Włoszech. To oddalenie nie zerwało jednak ścisłych węzłów, łączących poetkę z ojczyzną; owszem tęsknota stała się u niej, jak i u innych naszych wieszczów, zmuszonych pędzić tułacze życie na obczyźnie, źródłem natchnienia do najpiękniejszych jej utworów.

W r. 1877 w czerwcu pojawił się pierwszy większy utwór Konopnickiej w »Tygodniku Ilustrowanym« (Nr. 76 i 77.). Tak więc w bieżącym roku upłynęło 25

---

*) Niektórzy podają, jako miejsce urodzenia, wieś Suwałki.

lat od rozpoczęcia tej pracy pisarskiej, która dla naszego piśmiennictwa tak piękne wydała plony, tyle mu przyczyniła blasku, a nazwisko Konopnickiej zapisała nietylko na kartach dziejów tak literatury polskiej, jak i światowej, ale i w sercu całego narodu. To też owo »srebrne wesele« jubilatki z poezyą naszą poruszyło żywo umysły w całej Polsce. Że zaś kraj nasz cieszy się większą swobodą objawiania uczuć narodowych, niż inne dzielnice, — u nas przeto, w Krakowie, odbędzie się główna uroczystość jubileuszowa.

Program jubileuszu nie jest jeszcze w szczegółach ustalony. Tak komitet krakowski, jak i lwowski, rozesłały odezwę, wzywającą do składek na kupno pieśniarce ludu polskiego, jako narodowego daru, »chaty polskiej« w Wiśle, na Śląsku austryackim. Jestto pomysł bardzo trafny, bo naród nie powinien dozwolić, aby poetka, która przez ćwierć wieku dzieliła się z nim skarbami swej duszy, miała po 25 latach znojnej pracy pytać się:

Gdzie złożę skroń? ach, gdzież ja się ukoję?
Gdzie płynąć dam tym wstrzymanym łzom?
Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?
Gdzie jest mój dom?
Czemu nie mogę spocząć, ani wrócić
Do mojej wioski i do mojej chaty?

Poetka przybędzie na obchód jubileuszowy do Krakowa, skąd zjedzie następnie do Lwowa. Być zresztą może, że uroczystość jubileuszowa odbędzie się we Lwowie wcześniej, niż w Krakowie, a to z tego powodu, że na wrzesień ma być zwołany Sejm krajowy. To rzecz pewna, że w obchodzie jubileuszowym weźmie też udział lud polski, gdyż przy komitecie krakowskim

utworzyła się osobna sekcya z włościan ziemi krakowskiej, której przewodniczą były poseł Fr. Wójcik i poseł J. Bojko. Ta książeczka jest również hołdem ludu polskiego dla pieśniarki, złożonym Jej w imieniu tego ludu przez »Macierz Polską«.

Główną uroczystość jubileuszową poprzedziły już objawy czci i hołdu, złożone Jubilatce przez posłów sejmowych, niektóre instytucye i pisma literackie. Posłowie sejmowi np. wysłali na wniosek posła Stapińskiego następujący telegram:

»Posłowie, zgromadzeni na obecnej sesyi sejmu krajowego Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, zasyłają pieśniarce polskiej w Jej roku jubileuszowym wyrazy hołdu i czci z życzeniem jak najdłuższej jeszcze pracy nad podniesieniem duszy i serca narodu«. Telegram podpisali: p. Marszałek krajowy, Namiestnik, ks. Czartoryski, oraz siedmdziesięciu kilku posłów wszystkich stronnictw.

Z czasopism literackich dwa szczególnie, w których poetka najczęściej utwory swe pomieszczała, pośpieszyły ze złożeniem hołdu, wydając jubileuszowe zeszyty, wypełnione artykułami o ćwierćwiekowej pracy jubilatki. W jubileuszowym zeszycie »Biblioteki warszawskiej« znajduje się list na cały świat dziś sławnego wielkiego naszego powieściopisarza, Henryka Sienkiewicza. W liście tym pisze Sienkiewicz o Konopnickiej:

»Ona mówi i śpiewa, zarówno za istoty, jak i za »rzeczy, które albo nie umieją uświadamiać własnego »bytu, albo są nieme..... Więc poetka pyta, boleje, »śpiewa i mówi — za poddasza miejskie i za chaty wie»śniacze — ale głównie i szczególnie za tę polską wieś,

»z którą się zrosła i która ją sobie na chwałę wykoły»sała... W tej poezyi tkwi dusza chłopa i bije chłopskie »serce; słychać w niej dzwony wiejskie i kołatki trzód »i brzęk kos i sierpów, i rodzinną nutę śpiewów wiej»skich..... A jest w tem i ogromna szczerość — i rozle»głość pól, jest moc i światło, i barwa, i woń, i takie ży»cie, taki niepojęty dar zlewania się z naturą, iż mimo»woli wydaje ci się, że gdyby wiatr mógł poświstywać, »a bór szumieć mową ludzką, to wiatr musiałby wiać, »a las szumieć tylko jej słowami. I w tem tkwi ogro»mne znaczenie poetki i pieśni... Ziemia i lud są w Niej, »a ona w nich. I ten związek nie rozrywa się nigdy, »bo jeśli ów łabędź pożegluje śnieżnemi pióry aż gdzieś »na krańce ziemi, nad niezgłębione puszcze brazylijskie, »to dlatego, że w tych puszczach huczy polska siekiera »i płyną polskie łzy..... Serce jej, lecąc za polskim wy»rajem do brazylijskich lasów, cierpiało tam i odczuwa»ło niedolę całej gromady tak mocno, że spotęgowawszy »potężną i bez tego wyobraźnię, dało jej dar niemal ja»snowidzenia oceanów i puszcz. Kto je zna, musi przy»znać, że tam tak jest, jak Ona widzi. To morze, gdy »je rozpęta burza, tak się piętrzy i takimi rzeczywiście »ryczy głosami; podzwrotnikowa puszcza takim istotnie »śmiertelnym tchnie oddechem. Prawda! wszystko pra»wda! I z tej oto odgadniętej prawdy, z tego niezgłębio»nego współczucia dla zabłąkanej gromady, z tych ja»snowidzeń — z takiego tylko niepojętego daru wnikania »w naturę żywiołów i ludzi mogła powstać ta po prostu »przedziwna pieśń o panu Balcerze, w której świetna stro»fa goni jeszcze świetniejszą, z każdej bije piękność, pra»wda i siła, wszystkie zaś razem są tak proste, jak dusza

»chłopa, i tak szlachetne i doskonałe, jak greckie ko»lumny«...

»Język jej potrafi istotnie »głosić się«, jak fujarka »pastusza i kląskać, jak słowik, i krakać, jak orzeł, »i huczeć, jak burza — i być w pieśniach wiejskich »jak dziecko, które płacze, albo chłopka, która zawodzi, »a w pieśniach biblijnych być jak łoskot gromu. Ona »ci, czytelniku polski, i twoją ziemię, i twoje uczucia »wyrazi i wyśpiewa w twej cudnej mowie z taką mocą »i ozdobą, że aż sam zadziwisz się bogactwem tej mo»wy..... Ptak to szerokoskrzydły, drzewo, które wysoko »wystrzeliło w rodzinnym lesie, sława wielka i jasna, »pieśniarka, sercem miłująca, duchem i mową władna, »jedna z prawych dziedziczek i spadkobierczyń po wiel»kiej epoce narodowej poezyi. Twórczości takiej krót»kiemi słowy nie można objąć, ani jej w nie zamknąć — «ale godzi się i należy złożyć pokłon poetce i uczcić «Ją w chwili, w której cała nasza powszechność po»czuwa się do tego obowiązku«.

Nie można zaś pominąć milczeniem, że ten »pokłon« wielkiego mocarza pióra nie jest pierwszym. Już bowiem kolebkę tej twórczości, jeden z pierwszych utworów Jubilatki powitał Sienkiewicz, wówczas dopiero na pierwsze stopnie swej sławy wstępujący, takiem uznaniem, że Konopnicka opowiadała następnie sama: »gdy przyniesiono z poczty Gazetę Polską i gdy znalazłam w niej ustęp o moim wierszyku, wybiegłam w najsamotniejszą stronę ogrodu, odczytałam raz jeszcze pochwałę Sienkiewicza i rozpłakałam się z radości.« Byłoto w r. 1877, a więc 25 lat temu; Sienkiewicz bawił wtedy w Ameryce, skąd pisywał śliczne swe

listy do »Gazety Polskiej.« Do tej wzmianki nawiązać wypada drugą, że wielki nasz powieściopisarz, śp. Józef Ignacy Kraszewski, (założyciel »Macierzy Polskiej«) również wcześnie, bo w r. 1881, trafnie ocenił wielką przyszłość talentu Jubilatki. W recenzyi bowiem z Iszej seryi »Poezyi« taki wydał sąd:

»Mistrzostwo tu słowa wielkie, talent artystki »przepotężny, wrodzony i razem pracą a trudem spo»tęgowany. Obok naszych największych poetów stanąć »może bez obawy pani Konopnicka wytwornością szaty, »urokiem języka, bogactwem kolorytu, świetnością wal»cząc z nimi.«

Jubileuszowy zeszyt »Tygodnika Ilustrowanego« wypełniają poświęcone Jubilatce artykuły prozą i wierszem prawie wszystkich współczesnych pisarzy naszych. Z tego wspaniałego wieńca pięknych myśli, który świat literacki złożył w dani Jubilatce, wyprzedzając hołd całego narodu, niech nam będzie wolno wyjąć kwiat jeden skromny, przemawiający w imieniu ludu, a to z wiersza A. Neumanowej:

Idą głosy, idą głosy,
Z pól, gdzie żytnie brzęczą kłosy,
Z chat, co szarą strzechą kryte,
Z ziem, co siną mgłą spowite.
Idą głosy z miodną rosą:
W srebrne gody cześć Ci niosą.
Cześć Ci niosą serca ludu
Za ćwierć wieku pieśni, trudu!

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO Filia w Białej
139001